

Pomysł przekazali Antoniemu Piechniczкови, ten z kolei piłkarzom, oni zrobili, to co do nich należało i tak narodziła się mało oczekiwana wygrana 5:1. Nigdzie się z tym publicznie nie afiszowałem, niekiedy tylko w „nocnych redaktorów rozmowach” wyrażając zadowolenie, że skorzystano z moich uwag, a reprezentacji wyszło to na dobre.

Byłby człowiek rad, gdyby współczesne media, wolne od cięć cenzury i w związku z tym niczym nieskrępowane w formułowaniu własnych opinii i bardziej krytyczne w spojrzeniu na poglądy i praktyki ludzi związanych z futbolem, w sytuacjach trudnych, konfliktowych, społecznie często dwuznacznych, potrafiły wyzbyć się subiektywizmu, besserwisserstwa i nadmiernego radykalizmu. Wiem, że kiedy w instytucjach i klubach sportowych – obok kultu dobrej roboty – nagromadziło się moc zjawisk i postaw nagannych, trudno reagować bez emocji i chęci szybkiej naprawy. Odróżnianie dobra od zła jest teraz wyjątkowo trudne. Starożytni Rzymianie w podobnych sytuacjach mawiali: *„audiatur et altera pars”* czyli *„należy wysłuchać i drugiej strony”*. Ułatwi to sprawiedliwe oceny i znalezienie przyczyn zaistniałej sytuacji. Zachowania nieodpowiedzialne, społecznie naganne, przestępcze, trzeba napiętnować. Tu nie ma „przebaczyć”, nie wolno przymykać oczu, pobrażać. Ale warto też pamiętać, że zbyt pochopne stawianie szubienic, bez udowodnienia winy, bywa szkodliwe. Łatwo wtedy trafić kulą w płot, kto wie – może nawet zawiesić pętlę na własnej szyi...

### „PIŁKARSKI SENAT” Z MIODOWEJ 1

Ostatnio ważne tematy piłkarskie omawia się również w Klubie Seniora PZPN. To poważna placówka. Można ją porównać, zachowując oczywiście odpowiedni dystans, z drugą izbą naszego parlamentu. Sporo jest bowiem w tym Klubie starszych panów, myślę, że lepiej znających krajowy i zagraniczny futbol,

niż ich niektórzy młodociani następcy. Przemyślenia, wnioski, niekiedy nawet żądania tych seniorów mają jednak niewielką moc sprawczą, dużo mniejszą niż poprawki do sejmowych ustaw naszych senatorów. Mogą więc gadać sobie do woli, utyskiwać, krytykować, niekiedy nawet z rozpaczy łezkę uronić, że ich niegdysiejszy wysiłek współcześni mają w nosie. Sentyment do przeszłości łączą jednak z nadzieją, że wkrótce, może wreszcie na mistrzostwach Europy głośno będzie o „biało-czerwonych”.

Klub Seniora ma długą i dobrą tradycję. Tworzyły ten „piłkarski senat”, między innymi takie nieskazitelnie, czyste moralnie osobowości jak sędzia Mieczysław Walczak, trener Ryszard Koncewicz i selekcjoner Wiesław Motoczyński. Wszyscy ukształtowani przez Drugą Rzeczypospolitą. Ich duch autentycznej, a nie tylko propagandowej uczciwości i sprawiedliwości, długo gościł na pierwszym piętrze siedziby PZPN przy ulicy Miodowej w Warszawie. Na wyżej położone apartamenty te wartości już rządziej docierały. Członkowie Klubu Seniora teraz w gmachu na Bitwy Warszawskiej 7 – z dumą nawiązują do sportowej pasji swoich poprzedników, ich niezwykłych przeżyć i zasług dla polskiego piłkarstwa. Walczak był arbitrem, którego przez dziesiątki lat stawiano za wzór uczciwości, sportowej prawości i solidarności, przebogatej wiedzy i sympatii okazywanej całemu środowisku. W dzisiejszych czasach brzmi to, jak opowieść z innej planety, ale wiedzieć warto, że sędziowie piłkarscy niegdyś też byli „krykiet”. Senior Walczak nie znał pojęcie „łapówkarz”.

Motoczyński – to jeden z tych, którego nie tylko z racji wykonywanego zawodu nazywano „profesorem”. Kochał młodzież piłkarską jak własnego syna Michała, wyławiał i wychowywał talenty nie tylko na dobrych, więcej – wybitnych zawodników, ale również na prawych i przepojonych patriotyzmem obywateli. Po mistrzowsku łączył dobre wychowanie ogólne z piłkar-

skim szkoleniem specjalistycznym. Był ceniony w kraju i poza jego granicami, w klubach, federacjach, w domach rodzinnych młodych piłkarzy i ich najbliższym otoczeniu. Umiał się znaleźć w każdym towarzystwie i te wartości starał się przekazywać wszystkim ludziom futbolu. Bardzo pod tym względem przypominał swojego największego przyjaciela Kazimierza Górskiego. Mieli zbliżone spojrzenie na kanony życia codziennego. Były w nich miejsce i czas zarówno na ciężką pracę jak i zasłużony odpoczynek, a także na chwile nieco zabawniejsze. Zdrowy rozsądek jednak zawsze brał u nich górę nad chorobliwymi emocjami.

Ryszard Koncewicz był w piłkarstwie przez blisko pół wieku „profesorem profesorów”. Nie znam ani jednego polskiego selekcionera i wybitnego trenera, któremu obca byłaby „koncewiczowska szkoła”. Wiedza, rzetelność, twarda praca i nienaganna postawa moralna. Poznali zalety tej szkoły zarówno rówieśnicy „Fajki”: Tadeusz Foryś, Michał Matyas i Wacław Pegza, jak i liczni ich następcy: Antoni Brzeżańczyk, Kazimierz Górski, Leszek Jezierski, Edmund Zientara, Ryszard Kulesza, Jacek Gmoch, Wojciech Łazarek, Andrzej Strejlau, Antoni Piechniczek... Jest w Polsce, konkretnie w Dobiegniewie szkoła imienia Ryszarda Koncewicza. To dawny Woldenberg. Był tam oficerski obóz jeniecki, do którego pognali pana Ryszarda Niemcy po kapitulacji bohaterskiej Warszawy. Był liderem tych towarzyszy niedoli i wraz z nimi „za faszystowskimi drutami” uprawiał ukochaną piłkę nożną. Liczna delegacja Klubu Seniora reprezentowała PZPN w Dobiegniewie właśnie na otwarciu tej szkoły. Ciekawie opowiadali o tym wydarzeniu: Edmund Zientara, Leszek Ryłski, Jerzy Talaga, Andrzej Strejlau. Ja, też miałem tam być, niestety – spóźniłem się na pociąg do Stargardu Szczecińskiego. Dużo straciłem.

W Klubie Seniora nie ma już mężczyzn pierwszej młodości. Łysiny i szron na głowie mówią tu wszystko. Nawet Benio Blaut, jeden z najmłodszych w tym

towarzystwie, też jest na zasłużonej emeryturze. Obecnie szefem tej armii „starszych panów” wiernych futbolowi jest były prezes PZPN, Zbigniew Jabłoński. Można rzec, że jest „prezesem prezesów”, bo w tym zacnym gronie jest również trzech innych byłych sterników PZPN: Marian Ryba, Stanisław Nowosielski i Jan Maj oraz kilku równie dobrze znanych wiceprezesów i – dziś już opromieniony legendą – wieloletni sekretarz generalny Leszek Ryłski. Większość z nich kierowało Związkiem, kiedy zbierał medale za sukcesy na Igrzyskach Olimpijskich i mistrzostwach świata.

Jest taki zwyczaj wśród członków Klubu Seniora, że spotykamy się nie tylko raz w miesiącu zgodnie z harmonogramem zebrań i prezentowaną na nich „senatorską tematyką”, lecz także z okazji – jak to się potocznie mówi – „okrągłą rocznicą urodzenia” któregoś z nas. Wcześniej przeżyliśmy te chwile wraz z tymi, którzy już odeszli na „wieczną wartę”: Mieczysławem Walczakiem, Wiesławem Motoczyńskim, Ryszardem Koncewiczem i Włodzimierzem Reczkiem. Niedawno głośne „sto lat” intonowaliśmy Leszkowi Ryłskiemu, Marianowi Rybie, Zbigniewowi Jabłońskiemu, Marianowi Bednarczykowi, Hermanowi Steinowi, Edmundowi Zientarze, Janowi Majowi, Wacławowi Majdanowi, Henrykowi Losce, Józefowi Różyńskiemu i Jerzemu Hołubowi. W listopadzie 2009 roku także mnie spotkał ten zaszczyt. Laudacja pełna życzliwości. Jak ten czas szybko leci?! Jeszcze nie uszły z naszej pamięci mecze z Anglią na Wembley i z Brazylią w Monachium, a już wichry historii pognały niedawnego prezesa Janka w świat siedemdziesięciolatek. Ale on wciąż czuje się Majem nie tyle z racji wiosennego nazwiska i urzekającego w tym czasie zapachu bzu, ile ze względu na nienaganną sylwetkę, chłonny umysł i dużą aktywność zawodową.

Inżynier z wykształcenia, a więc nasycony ścisłą wiedzą matematyczno-fizyczną, ma w sobie również sporo cech humanistycznego erudyty. Dał się uwieść namiętnościom sportu, on też ukochał futbol „miłością największą”, był nawet

dypłomata, jest nadal niezrównanym gawędziarzem. Właśnie na swej uroczystości urodzinowej niczym wytrawny eseista zbeletryzował cały swój żywot sportowo-zawodowy. Ukazał kilka wcieleń swej barwnej osobowości, w tym nawet kilka nocy spędzonych ze mną na grze w kariokę, ale – taka jest siła futbolu – najcieplej i z największą satysfakcją mówił o swojej przygodzie z piłką nożną. Prezes sukcesów!

– ... „Wypomniała mi to brazylijska prasa – z filuternym uśmiechem opowiadał Maj. – Gdy w tamtejszej ambasadzie podjąłem niełatwą i odpowiedzialną pracę, w jednym z prorządowych dzienników uznano mnie za „człowieka sukcesu”. Nawiązując do wygranego przez nas meczu o trzecie miejsce na świecie zrobiono niecodzienną reklamę: **Witamy Polaka, który pokonał Brazylię!** Zrobili to – jak wiadomo Górski, jego drużyna i przede wszystkim strzelec bramki Grzesio Lato, ale w tym wielkim kraju jakaś część splendoru spadła również na mnie. Takie chwile są niezapomniane...

Zaraz po Weltmeisterschaft 1974 ówczesny prezes PZPN nie miał jednak zbyt dużo powodów do radości.

– Nie potrafiliśmy wykorzystać sprzyjającej koniunktury. Marzył się nam własny ośrodek piłkarski z prawdziwego zdarzenia, zarobiliśmy przecież sporo pieniędzy na tych mistrzostwach, ale o własnych siłach zbudować tego nie mogliśmy. Zresztą do kasy PZPN wpłynęła tylko część dolarów. Bodaj aż osiemdziesiąt procent waluty nadesłanej z FIFA przejął GKKFiT i COS. Siermiężne to były czasy, siermiężny był nasz sport... Piłka też...

– Niby piłka nożna była wtedy „pierwsza wśród równych” – na moment przerwał te Janka wspomnienia Stefan Grzegorzczak – ale w praktyce nic dobrego z tego nie wynikało. Decyzje zapadały gdzie indziej...

– I to uważam za najbardziej przykre w swej prezesowskiej karierze – kontynuował Maj. – Nasza samodzielność była zwykłą fikcją. Reprezentacja wygry-

wała z największymi potęgami w piłkarstwie zawodowym, ale „realny socjalizm” wciąż traktował nasz futbol po amatorsku.

– Pojęcie „transfer piłkarski” – podchwycił temat Andrzej Strejlau – było nieznane...

– Tak, to też mocno odczułem na własnej skórze – nie ukrywał rozgoryczenia Jan Maj. – Po Monachium czołowymi polskimi piłkarzami zainteresował się niemal cały świat. Na moim biurku, także w rozmowach telefonicznych pojawiały się niezwykle korzystne oferty transferowe. Składał je nawet Bayern Monachium, a przypomnijmy sobie, że wtedy w tej drużynie grali między innymi: Maier, Breitner, Beckenbauer, Schwarzenbeck, Mueller... Mistrzowie świata. Najenergiczniej zabiegano o pozyskanie Kazia Deyny, ale równie wysoko ceniono Gadochę, Latę, Szarmacha. Szło o dużą kasę. Poszedłem z tymi kłopotami do Bolesława Kapitana. Wysłuchał, pokiwał głową i mocno zafasowany, zapytał:

– A co na to powiedzą towarzysze radzieccy?

Na moment mnie zatkało... Nie wiem panie przewodniczący – naiwnie odpowiedziałem. – Słyszałem jednak, że niektórzy piłkarze mają paszporty w domu i... mogą to wykorzystać bez naszej zgody. Namawiają ich do tego natrętni menedżerowie. A chłopcy chcą zarobić...

– Słuchajcie Maj, coś wam poradzę... Wy z tymi klubami zagranicznymi, z naszymi piłkarzami też, rozmawiajcie jak gdyby nic, normalnie... Po partnerstwu. Nie dajcie poznać, że ich kiwacie, że to takie piłkarskie sztuczki. Jeśli kapitaliści chcą z nami handlować, to znaczy kupować naszych zawodników, to spokojnie odbierajcie telefony, pertraktujcie. Takie są reguły tej gry...

– Czy znają je również piłkarze? – wtrąciłem.

– Piłkarze?... Rozumiem, że chcą grać za większe pieniądze... dla innych. Ich też nie zniechęcajcie. Będziecie mieć kłopot z głowy...

– Jak mam to rozumieć, towarzyszu przewodniczący? – znowu zapytał Kapitana.

– Wy Maj, obiecujcie, dajcie nawet zgodę... Będziecie w porządku... A ja po prostu zablokuję im paszporty...

Jeszcze u schyłku „realnego socjalizmu” pana Antoniego Ptaka, jego syna Dawida i ludzi im podobnych nazywano by „prywaciarzami”, „badylarzami” lub też nieco obrzydliwej „cinkciarzami”. Dziś są w większości szanowanymi i podziwianymi biznesmenami. Wprawdzie niektórzy ekonomiści i politycy uważają nasz nowy ustrój (w skali globalnej) za kapitalizm peryferyjny, więc z pewnością jest mówić i pisać o „powrocie w gospodarce do wolnego rynku”. Jedną z trwałych cech tego ustroju jest poszukiwanie taniego surowca i jeszcze tańszej siły roboczej. Światowy futbol wyraźnie kroczy tą drogą, masowo penetruje zwłaszcza Afrykę i Amerykę Południową. Rodzina Ptaków uznała, że najlepiej jest robić tego rodzaju interesy w Brazylii. Rynek stosunkowo tani i wciąż nasycony bogactwem piłkarskich talentów.

Pan Antoni jest przekonany, że tamtejsi zawodnicy, nawet wyeksploatowani i już o mocno zgranych nazwiskach, będą błyszczeć na polskich boiskach. Lepszych nie widział? Prasa podbija ten bębenek, sugerując, że w naszej lidze jeszcze nie grali tej klasy zawodnicy. Śmiać się z tego powodu czy płakać? „Cudze chwalicie, swego nie znacie...”. Podczas Weltmeisterschaft '74 w RFN Polacy pokonali reprezentację Brazylii. Mimo że aż roilo się w niej od piłkarzy jednak lepszych niż niedawne gwiazdy Pogoni. Nazwiska Paulo Cesara, Rivelino, Jairzinno, Dirceu, Brazylijczyków z tamtych lat wciąż z uznaniem wspomina się w Sao Paulo i Rio de Janeiro, mimo że byli wtedy w cieniu: Jana Tomaszewskiego, Jerzego Gorgonia, Władysława Żmudy, Kazimierza Deyny, Roberta Gadochy, wreszcie strzelca zwycięskiej bramki Grzegorza Laty.

I tu dotykamy sprawy dziś trudnej do zrozumienia. Głównie w latach siedemdziesiątych i nieco później mieliśmy reprezentację na poziomie światowym, a i niektóre drużyny klubowe na miarę dzisiejszej Ligi Mistrzów. Był to niewątpliwie powód do dumy, ale daleki od euforii i... samozadowolenia. Chciałoby się grać jeszcze lepiej i częściej zwyciężać! Od różnych stron i na różne sposoby ocenialiśmy ówczesny świat piłkarski i rolę, jaką w niej odgrywali „biało-czerwoni”. Działaliśmy niejako na przekór opinii, że „nie sędzi się zwycięskiej drużyny”. Pewne prawdy, które wtedy uznaliśmy za obiektywne, mają wymiar ponadczasowy. Również anno 2006 przed kolejną wyprawą naszej reprezentacji na mistrzostwa świata do Niemiec były godne przypomnienia.

Przede wszystkim szło o nieustający spór „starzy czy młodzi” powinni grać w drużynie narodowej. Najlepiej, gdyby „rozum był przy młodości”. Jednak rzadko to idzie ze sobą w parze. Naonczas teoretycy futbolu twierdzili, że najbardziej korzystny wiek dla piłkarza to 26-28 lat. Ma wtedy jeszcze dużo młodzieńczej werwy i już sporo doświadczenia. Nasza reprezentacja z 1974 roku była dużo młodsza, dlatego wiązaliśmy z nią nadzieję na jeszcze lepszy wynik cztery lata później w Argentynie. Bojowe hasło Jacka Gmocha „jedziemy po złoty medal” w tej konkretnej sytuacji nie było li tylko wytworem jego chorobliwej ambicji i wybujałej fantazji. Miał cudowną drużynę. Liczne błędy organizacyjne, szkoleniowe i pozasportowe jednak nie pozwoliły Polakom dotrzeć nawet do strefy medalowej.

Dobrym materiałem do rozumnych rozważań na ten temat był po Mundialu w Niemczech przeciętny wiek czterech reprezentacji, trzech zwycięskich i jednej przegranej. W drużynach Niemiec (27, 4) i Holandii (27,7) najlepiej zagrały bariery wiekowe, w zespole Polski (24,8) były duże rezerwy, natomiast u Włochów (28,9) okres świetności już wyraźnie się oddalał. Kluczowi za-

wodnicy „azzruich”: Facchetti, Burgnich, Rivera, Mazzola, Riva przekroczyli już trzydziestkę, natomiast w naszej ekipie było nawet kilku dwudziestolatków w tym rewelacyjny Władysław Żmuda, Zdzisław Kapka i Marek Kusto, a także takie tuzy jak: Lato, Szarmach, Szymanowski i Kmiecik, jeszcze przed rokiem gracze reprezentacji młodzieżowej. W sumie nasza reprezentacja była w roku 1974 najmłodsza... Niestety, tego potencjału sportowego nie wykorzystano w Argentynie.

## STARZY CZY MŁODZI?

Paweł Janas i jego wybrańcy znowu pojawili się na niemieckich boiskach. Drużyna nie była jednak już tak młoda, być może dojrzalsza, choć niewątpliwie mniej utalentowana. Znalazło się w niej kilku zawodników po trzydziestce. To wątpliwy atut. W tym wieku prochu się raczej nie wymyśli, zresztą wbrew naturze niełatwo jest „odwlekać piłkarską starość”. Okres pełnej sprawności i wydolności organizmu dla potrzeb sportu wyczynowego jest znacznie krótszy niż przeciętny wiek produkcyjny. Tu i ówdzie podejmuje się próby wzmacniania, a także przedłużania aktywności zawodniczej niedozwolonymi środkami farmakologicznymi. Są to praktyki niedopuszczalne i sprzeczne z etyką sportową.

Ale jest też teraz cała gama środków dozwolonych, trzeba umiejętnie z nich korzystać. To zadanie dla lekarzy. Umiejętność wykorzystania postępu w medycynie sportowej i w formach doskonalenia biologicznej odnowy jest dziś równie ważne jak wszelkie operacje sztabu ściśle szkoleniowego. Stąd prosty wniosek: przeciętny wiek piłkarza, zakładając że profesjonalnie korzysta z tych zdobyczy, znacznie się wydłużył. Coraz głośniej mówi się więc i pisze, że w wielu gałęziach sportu „prawdziwe życie sportowe zaczyna się po trzydziestce”. W piłce nożnej

również! Czy mając to na względzie, mogliśmy liczyć na „młodzieńczą” grę naszych trzydziestolatków?

Na granicę wieku sportowców należy spojrzeć indywidualnie. W piłce nożnej na przykład Lew Jaszyn i Dino Zoff mieli już czwarty krzyżyk na karku, a Oliver Kahn był bliski tego ciężaru, mimo to wciąż grali (gra) na najwyższym poziomie światowym. Wielu innym, znacznie młodszym zawodnikom nie zawsze się to udawało. Nasz bramkarz Jerzy Dudek, a także środkowy obrońca Jacek Bąk, w swoim „wieku chrystusowym” wydawali się być w pełni sił i nadal mieć dużą ochotę do gry. Jacek Zieliński jeszcze dłużej niż oni był podporą reprezentacji. A więc? Dawne granice pełnej aktywności sportowej znacznie się wydłużyły. Nadal jednak tylko sportowe umiejętności, aktualna forma, doświadczenie i... sentyment decydują o przydatności piłkarza dla drużyny. Liczono przeto na Jerzego Dudka, mimo że już zaczął pisać pamiętniki. W finale Ligi Mistrzów pięknie tańczył w naszej bramce. Sądzone, że równie ładnie potańczy w naszej bramce na niemieckich boiskach. Stępiona ostrość widzenia. Na mistrzostwa świata nie jeździ się za zasługi, ani też po naukę! Tam trzeba być gotowym do gry! Janas słusznie postawił na Artura Boruca.

Skoro jednak coraz bardziej przesuwana się granica wieku, tak w górę jak i w dół, w dobrej reprezentacji, mogą i powinni grać, jeśli są dobrzy, zarówno dwudziestoletni młodzieńcy jak i trzydziestoletni rutyniarze. Tego nie da się wymierzyć liniałem, ani zważyć ciężarkami. Tu potrzebna jest wiedza, wyobraźnia oraz zmysł selekcyjny i taktyczny trenera. Musi umieć wykorzystać potencjał kadry jaką dysponuje. Górski oraz jego asystenci Gmoch i Strejlau potrafili przywrócić futbolowi rzecz w nim najistotniejszą – strzelanie goli. Czy można było tę prawdę odnieść do obecnej reprezentacji?

W grach eliminacyjnych „Janas and his boys” udowodnili, że jądro futbolu czyli zdobywanie bramek nie jest im obce. Nie zadowalały ich zwycięstwa różni-

cą jednego gola, obce im było kunktatorstwo i zwalnianie tempa gry. Frankowski i Żurawski dość długo byli jakby bliźniaczą kopią najpierw duetu Lato- Szarmach, a później Boniek – Smolarek. Jawił się nam zespół o podobnych możliwości i o równie dużych aspiracjach? Zespół z Deyną, Tomaszewskim, Szymanowskim, Latą, Gadochą, Gorgoniem i świetnie zapowiadającym się Żmudą miał więcej indywidualności. W Hiszpanii byli to przede wszystkim Młynarczyk i Boniek. Głównie tacy piłkarze decydują o medalach.

W charakterze polskich piłkarzy jest zdobywanie bramek. To cenna zaleta, ale zespół jako całość musi być wyrównany, bez słabych punktów, tworzyć monolit. A takiej drużyny w roku 2006 nie mieliśmy. To samo można by powiedzieć o reprezentacji Niemiec, nie dorównuje klasą tej z 1974 roku. Dotychczas nasi na Mundialach grali z Niemcami dwukrotnie: raz było niezbyt sprawiedliwe 0:1 i raz 0:0. By wyrównać bilans należało wygrać 1:0. Jednak znowu było 0:1. By pójść dalej, trzeba było wygrać z Ekwadorem i Kostaryką. Mariaż młodzieży, niby dalekiej od piłkarskiej sztampy, z doświadczeniem starszych zawodników, nie był jednak naszą szansą na sukces. Janas podobnie jak Górski nie boi się ryzyka, ale w Niemczech zalet tych nie potwierdził. Prasa brutalnie mu to wytknęła.

## OREŹ „CZWARTEJ WŁADZY”

Być dziś dziennikarzem – także sportowym – jest znacznie łatwiej i prościej, niż przed pół wiekiem. Ma pełną swobodę w wyrażaniu swoich opinii (nas w tamtych czasach temperowała cenzura) i po stokroć większą możliwość bezpośredniej obserwacji pracy szkoleniowej w klubach i drużyn reprezentacyjnych. Mam tu na myśli głównie przygotowania i mecze rozgrywane poza granicami kraju. Prasa, radio i telewizja nie ma teraz żadnych kłopotów z wyjazdami na me-

cze klubów i reprezentacji, zarówno o punkty jak i towarzyskie. Dawniej monopol na ważniejsze imprezy sportowe miała Polska Agencja Prasowa (PAP), czasem z tego przywileju korzystało Polskie Radio, rzadziej Telewizja.

Pisma sportowe, zaszufladkowane przez ówczesne władze „do hobbystycznych”, nie miały takich możliwości. Próbowano oczywiście pytać dlaczego tak się dzieje, ale na szczytach władzy z reguły odpowiadano jasno i otwarcie, aczkolwiek nie zawsze zgodnie z prawdą „z powodu braku dewiz”. Inne były priorytety. Argument, że nasi czytelnicy też chcą wiedzieć, co w Europie i na świecie dzieje się w futbolu, praktycznie wszystkie pisma sportowe zbywano bezczelną odpowiedzią: – *„Przecież ten mecz „leci w telewizji... Kibicom to wystarczy. A wy i tak jakoś to opiszecie...”*. Jeśli już udało się „wydębić” pełnodewizowy wyjazd na jakiś super ważny mecz, trzeba było poza macierzystym pismem obsługiwać kilka innych gazet. Takie warunki stawiał monopolista „RSW Prasa”, którego głównym udziałowcem, a raczej beneficjentem było KC PZPR. Jeszcze większe trudności w tym względzie mieli dziennikarze sportowi z prasy związanej ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym. Tam była nędza absolutna, przeto i działy sportowe ubogie w informacje zagraniczne.

Pracowałem w „Przeglądzie Sportowym” już od września 1953 roku, ale na pierwszy wyjazd poza „żelazną kurtynę” czekałem aż pięć lat. Gomułka i jego ludzie nieco popuścili wówczas cugle. Popaździernikową „odwilż” sprytnie wykorzystało nasze pismo. Dzięki staraniom redaktora naczelnego Edwarda Strzeleckiego uzyskaliśmy w Zarządzie Głównym „RSW Prasa” zgodę na utrzymywanie kontaktów bezdewizowych w zasadzie ze wszystkimi redakcjami sportowymi ówczesnych krajów demokracji ludowej i z francuską „L'Equipe” oraz na krótko ze szwedzkim „Idrottsbladet” i belgijskim „Le Sports”. Paszport z ulicy Bagateli w Warszawie, stamtąd jedna dieta bez hotelu oraz

zakwaterowanie i wyżywienie na koszt zaprzyjaźnionych redakcji – to był już sukces ogromny.

Nie przelewało się, ale ... „Polak potrafi”. Wpadliśmy więc na jeszcze jeden pomysł. Przed każdym wyjazdem na zawody sportowe do tych krajów chwytałyśmy za pióra, zaraz potem za słuchawkę telefoniczną lub uderzałyśmy w klawisze dalekopisu i... przekazywałyśmy partnerom obszerne informacje o naszych drużynach, zawodnikach, możliwym wyniku. Oficjalnej zgody nie było (wcześniej za podobne praktyki krytykowano Maliszewskiego i Rzeszota), teraz jednak patrzono na to przez palce. Niby tak od niechcenia pytano tylko, ile na tym zarobiliśmy. Podtekst był oczywisty! Trzeba było z każdego takiego „bezdewizowego” wyjazdu łaskawcę-wydawcę uhonorować jakimś skromnym suwenirem. Na tych samych zasadach przyjeżdżali do Polski specjaliści wysłannicy pism z nami współpracujących. Też pisali artykuły wyjątkowo dobrze wyceniane, też dostawali niezłe diety, a osoby ich „pilotujące” odpowiednie fundusze na „bratanie” się w jednym z lepszych lokali warszawskich.

Różne były tych naszych gości charaktery i upodobania. Siergiej Paszynin z „Sowieckiego Sportu” zaczynał „drużbę” od dużego kufla (!) „Wyborowej” w „Smakoszu” na Mokotowskiej, a kończył solowym „Daleko, daleko...” w Stowarzyszeniu Dziennikarzy na Foksal. Szwed dla odmiany (też miał mocną głowę), gdy dowiedział się, że dolar w Polsce na czarnym rynku miewa wartość nawet stu złotych, to z nieukrywaną pogardą przyjął wysokość kieszonkowego. A dostawał pół tysiąca dziennie.

– To jest tylko pięć dolarów! – śmiał się od ucha do ucha. – Tyle to ja w Sztokholmie, gdy jestem pod „niezłą datą”, daję za usługę babci klozetowej...

Był rok 1966, druga połowa maja, wiosenne ciepło. Powiozłem gościa do Wrocławia na towarzyski mecz Polska – Szwecja. Na Stadionie Olimpijskim

komplet widzów. Padł wynik remisowy 1:1, co Szweda Niemile zaskoczyło, natomiast naszego trenera Antoniego Brzeżańczyka wprowadziło w dobry humor. Wypiliśmy po „maluchu”. Ułatwiłem gościowi rozmowę z selekcjonerem, a tuż przed północą wraz z Koncewiczem, Motoczyńskim i Ptaszyńskim, postanowiliśmy wrócić do Warszawy. Pociąg dalekobieżny, aż z Jeleniej Góry, przepełniony, a my nawet biletów nie mamy. Taki był tłok przed kasami. Dla nas Polaków to nic zdrożnego, codzienność, ale co ten Szwed sobie pomyśli. Ma jechać na gapę i całą noc stać na korytarzu?

Wysłannicy PZPN jakoś wdrapali się do wagonu, po powrocie do Warszawy chwalili się, że wszystko elegancko załatwili z konduktorem i nawet pograli w brydża. Ja ze Szwedem wciąż na wrocławskim peronie. Pchają się ludziska, jak po cytryny w delikatesach. Facet zdziwiony, ja też tłoku nie lubię, więc krzyczę: – Stój! Poczekaj! Nie, chodź ze mną!... I podszedłem do wagonu sypialnego. Nauczył mnie kiedyś kolega redakcyjny Artur Cendrowski, syn kolejarza z Żyrardowa:

– Na dłuższą, nocną podróż nie kupuj biletu w kasie. Podejdz spokojnie do wagonu sypialnego... Tam zawsze jest jakaś rezerwa poselska... Grzecznie powitaj konduktora. Uśmiechnij się, powiedz o co idzie, sięgnij przy tym koniecznie po portfel i... spokojnie czekaj. Aż odprawi pasażerów!...

Gość ze Szwecji niewiele z tego zrozumiał, ale liczyć pieniądze potrafił. Kiedy mu powiedziałem, że za podróż z Wrocławia do Warszawy pociągiem pospiesznym i noclegiem w wagonie sypialnym dla dwóch osób zapłaciłem tylko trzysta złotych, osłupiał. Teraz dopiero w pełni docenił wartość naszego kieszonkowego i wycenę za przekazane informacje prasowe. Miał na cztery dni pobytu w Polsce blisko trzy tysiące złotych, a więc tyle, ile wtedy miesięcznie zarabiała większość dziennikarzy zatrudnionych w „Przeglądzie Sportowym”. Głodny i trzeźwy nie chodził. A gdy jeszcze na pożegnanie dostał jakiś upominek, nie

mógł wyjść z podziwu. Za niewiele ponad trzydzieści „polskich dolarów”, jak to sobie wyliczył, żył w tym czasie jak panisko. Do domu zawiózł jeszcze dwie butelki „Wyborowej” zakupione w „Pewexie” za niespełna dziesięć szwedzkich koron. U siebie drożej płacił za jeden kieliszek...

Kilka lat później, już w tygodniku „Piłka Nożna”, takich wydarzeń i „kontaktów bezdewizowych” w zasadzie nie było. W sprawach piłkarskich na ówczesnym rynku mediów nasz periodyk miał teoretycznie priorytet, ale w praktyce tego nie odczuwaliśmy. Stąd też wiele spotkań poza Polską odbywało się bez naszego udziału. Nie mieliśmy też stałych korespondentów zagranicznych i zadowalającego dostępu do prasy zachodniej. To również obowiązywały „limity dewizowe”, szczególnie dotkliwe dla prasy hobbystycznej. Ale i tu jakoś sobie radziliśmy! Osobiste kontakty i znajomości, także sympatia do naszego pisma wielu byłych piłkarzy i kibiców na stałe lub służbowo przebywających zagranicą, pozwoliły załatać niektóre luki.

I tak: z Argentyny fachowe komentarze nadsyłał nam były piłkarz Korony, Legii i Polonii Warszawa, wieloletni kapitan reprezentacji Polski Jerzy Bułanow, z Brazylii obszerne reportaże kreślił red. Aleksander Pasierbiński, z Węgier mój przyjaciel jeszcze z czasów pracy w „Przeglądzie Sportowym” red. Witold Wieromiej, z Anglii były bramkarz Wisły Kraków Stanisław Gerula oraz od czasu do czasu Stanisław Wieliszek i Janusz Kowalik z Holandii. Także Jacek Gmoch w wolnych chwilach siadał przy biurku i pisał. To jedna z form w miarę stałych kontaktów ze światem.

Druga – to okazjonalne korzystanie z usług dziennikarzy z „demoludów”: Dymitra Popdymitrowa i Aleksandra Jasnikowa z Bułgarii, Czesława Rypara z Czechosłowacji, Constantina Macoveia z Rumunii oraz Olega Kuczerenki i Wiktora Poniedielnika (to ten, co nastrzelał nam sporo bramek w przegranym meczu 1:7 na Łużnikach) z byłego Związku Radzieckiego. Wszyscy byli spraw-

ni i dyspozycyjni, chętnie do nas pisali, ale mieli wadę trudną do wybaczenia, przesadzali w cukierkowatych opiniach. Wychwalali swoich piłkarzy, co nie zawsze pokrywało się z naszymi odczuciami i informacjami napływającymi w tych sprawach z innych źródeł. Były bardziej obiektywne.

No to znaleźliśmy jeszcze jedno rozwiązanie. Głównie z Włoch i obu części Niemiec (RFN i NRD), a więc krajów w futbolu mocnych, publikowaliśmy korespondencje „specjalnych wysłanników” pracujących na stałe w naszej redakcji lub tylko okresowo z nią współpracujących. Śledzili włoską i niemiecką prasę, dzwonili do znajomych, tamtejszych klubów lub federacji piłkarskich i tak rodziły się pozornie autentyczne reportaże. Nawet nie wszyscy pracownicy redakcji wiedzieli, że interesujące rozprawy o piłkarstwie włoskim pod pseudonimem Manfredo Bartoloni „nadsyłał” z Rzymu do Warszawy stały mieszkaniem naszej stolicy Krzysztof Ernst, a korespondencje z Niemiec Jerzy Lechowski z NRD jako Sepp Kohlmann, a z RFN jako Helmut Eppmayr – obaj z Pragi Południe.

Od czasu do czasu z podobnych pomysłów korzystał w „Przeglądzie Sportowym” red. Mirosław Skórzewski. Zagranicę potrafił się wybrać z jedną czystą koszulą i... szczoteczką do zębów. I z reguły dawał sobie radę. Mnie też niekiedy wybawiał z kłopotów. Bardzo Go teraz brakuje, bo odszedł na zawsze. Już nikogo nie zaprosi na kielicha, z nikim nie pogra w karty lub „numerki”, nikogo też nie „wyciągnie” na wyścigi koników na Służewcu i nie rozbawi w drodze na mecz piłkarski. Miruś nawet wtedy, gdy był już bardzo chory, nie zatracił pogody ducha i żyłki hazardzisty. Marzył o wyjeździe i szczęściu w Las Vegas. Przedtem zagadnął jednak lekarza czy może pofrunąć za Ocean.

- A ma pana tam kto pochować? – usłyszał w odpowiedzi.
- Mam w Ameryce syna, bankowca...
- No to niech pan leci...

Po powrocie w najdrobniejszych szczegółach opowiadał swoje przeżycia w tej świątyni hazardu. Był tam kilka razy i nigdy goły nie wracał. Miał „nosa”, wiedział, kiedy odejść od stołu. A potem znowu szedł do lekarza...

– Juruś! Te konowały wynajdują u mnie coraz to nowe choroby. Recept mało... Leki drogie... Nie chcą nic dawać na zapas. Czy ty wiesz, co jeden z nich bezczelnie odpowiedział na moje „dlaczego”?...

– Do śmierci panu wystarczy...

Przyjął to Miruś spokojnie, z godnością i jak zawsze z uśmiechem na twarzy. Machnął tylko pogardliwie ręką: – „A to kanalia”! Zbagatelizował nawet groźny wypadek. To przyspieszyło Jego odejście. Stanowczo za wcześnie. Pozostał jednak, tak – jak Grzegorz Aleksandrowicz, Lech Cergowski i Jerzy Zmarzlik jedną z legend „Przeglądu Sportowego”. Nie przywiązywał większej wagi do zarobków, choć z racji swej dziennikarskiej twórczości był jedną z „lokomotyw” całego RSW „Prasa”. Spoczywa na Bródnie.

Gazety pracują teraz na własny rachunek (nam przypadał znikomy procent zysków), zmagają się z konkurencją i w związku z tym muszą mieć obsługę z aren sportowych szybką, własną, rzeczywistą, a nie zmyśloną. Czy również wystarczająco fachową? Chwilami myślę, że tak jak Miruś i inni „przeglądowcy” za wcześnie się urodziłem. Uciekło nam ładnych parę lat Trzeciej Rzeczypospolitej. Ale nie żałuję, bo w naszych czasach nasi piłkarze grali jednak znacznie lepiej. To wynagrodziło wszelkie niedostatki. Zastanawiam się tylko, co na ten temat mogliby dziś powiedzieć tak wybitni niegdyś piłkarze jak: Cieślik, Zientara, Woźniak, Oślizło lub Brychczy? Też za wcześnie się urodzili? Skalą talentu przewyższali większość naszych kandydatów na Weltmeisterschaft 2006.

Tak, dziś łatwiej jest być dziennikarzem sportowym niż przed pół wiekiem i ileś tam lat później. Przemawiają za tym wszystkie środki techniczne, elektro-

niczne, materialne i lokalowe, nieograniczony dostęp do prasy zagranicznej, także bogate archiwa i... wolność słowa. Nie ma cenzury. Wszystko to razem wzięte ułatwia pracę. Nikt nie dopuszcza też myśli, by „Przegląd Sportowy” lub „Piłka Nożna” mogły by mieć kłopoty z delegowaniem swoich sprawozdawców na imprezy zagraniczne i inne ekskluzywne zadania redakcyjne. Serwis informacyjny jest zapewniony. A jego jakość? Bywa tak zmienna jak forma naszych piłkarzy. Raz powoduje to nadmierny pośpiech, brak czasu na „oszlifowanie” tekstu, ale dość często też brak... iskry bożej. Fachowości... Męczą zwłaszcza bezkrytycznie przyjmowane bzdurne opowieści trenerów o „zrealizowanych” lub „niezrealizowanych” zadaniach taktycznych, pechu, braku szczęścia, złej pogodzie i twardej nawierzchni boiska, w ogóle nieprzychylności sił nadprzyrodzonych i stronniczości sędziów. Ale przy tym ani słowa o własnej nieudolności. Brak odpowiedniej reakcji na te banialuki.

W rozpowszechnianiu tych bajeczek wyspecjalizowali się również piłkarze. Często przychodzi im to łatwiej, niż poprawne kopanie piłki. Niemal każdy z nich ma w głębie pełno frazesów o profesjonalizmie, umiłowaniu klubu, w którym gra, także o tym, że pieniądze nie są dla nich najważniejsze. Liczą się tylko racje sportowe. Jednak gdy tylko pojawi się nieco lepsza oferta finansowa w kraju lub możliwość wyjazdu zagranicę, cieszą się, że będą „podnosić” swoje umiejętności w jakimś podrzędnym klubie II ligi. Wtedy szybko zapominają o przywiązaniu do macierzystego klubu w kraju, rodzimych wychowawcach, lokalnym patriotyzmie i ścisłej więzi z polskimi kibicami. Tu już – zapewniają – wszystko dali z siebie i tylko nowe wyzwanie jest w stanie zaspokoić ich sportowe ambicje. Obłudnicy... Czy aby za dużo nie wymagam od „współczesnych ludzi” futbolu? Niedawno jednak z tych wewnętrznych rozterek uwolnił mnie red. Dariusz Tuzimek w tekście **„Wywiad tradycyjny”, zamieszczonym w „Przeglądzie Sportowym”**:

– ... „Często łapię się na tym, że piłkarze częstują mnie wywiadami właśnie... tradycyjnymi. Człowiek słucha i słucha, a niczego się nie dowiaduje... Będę teraz wszystko czytał inaczej, z tzw. kluczem: – „Cała nasza drużyna zagrała nieźle, staraliśmy się walczyć” – opowie piłkarz X, a ja już robię tłumaczenie z wywiadu tradycyjnego: – „Redaktorze! Poza mną, wszyscy byli beznadziejni, słabikom biegać się nie chce, wszystko mają gdzieś”. Albo zawodnik przekonuje: – ... „Wszystko zawdzięczamy naszemu trenerowi, bo dobrał dobrą taktykę”, czyli w tłumaczeniu: „trener to gamoń kompletny, o taktyce pojęcia nie ma, jakby nie my piłkarze, dawno na zbity pysk by go wylali...”

Czytałem te bliskie mi spostrzeżenia młodszego kolegi z „PS” w przededniu przyspieszonej rundy wiosennej 2006. Znowu pojawiają się wątpliwości, bo znowu gardlują głównie trenerzy i piłkarze. Wisła czy Legia mistrzem? Puchar Polski dla Lecha! Pogoń „brazylijskiej Pogoni” za Ligą Mistrzów. Ciekawe właśnie, jak po tym „Wywiadzie tradycyjnym” w najbliższej przyszłości będą komentować swoje osiągnięcia nasi ligowcy. Znowu będą „fruwać w obłokach”? Przy okazji nie zaszkodzi też podjąć się weryfikacji zwierzeń ich trenerów i prezesów. Po prostu przetłumaczyć na ludzki język. „Film” czyli „kit”, jak mawiał jeden z reprezentacyjnych niegdyś piłkarzy, można wciskać każdemu, ale nie wszyscy muszą w to wierzyć. A przedstawiciele „czwartej władzy” w stopniu najmniejszym!

Obowiązkiem dziennikarza jest mieć w każdej sprawie własne zdanie. Bez tego tekst jest ułomny, a jego wydźwięk społeczny nieskuteczny. Właściciele klubów, sponsorzy, dyrektorzy, trenerzy, psychologowie, zawodnicy, no i oczywiście menedżerowie od siedmiu boleści, a nawet politycy mówią o naszym piłkarstwie w reguły więcej, niż w istocie wiedzą. Tu znachorów mamy całe kopy. Reformują ligę, uzdrawiają reprezentację, tylko oni znają się na transferach, strategii i taktyce, moralności i patriotyzmie. Zwalczą korupcję i usuną skostniałą

władzę. Wszystko jest w tej paplaninie, oferta – do wyboru do koloru, tylko dość często sensu brak. Bez redakcyjnego komentarza tych „mądrości” na łamy prasy i w eter puszczać nie wypada!

## TO WIE TYLKO PIECHNICZEK?

Gdy pisałem te słowa, emocjonowaliśmy się przede wszystkim przygotowaniem naszej reprezentacji do finałów mistrzostw świata. Szło ku dobremu. Dudek jednak zagrał w bramce Liverpoolu, Krzyżówek też wrócił do gry, Boruc i Żurawski urosli w Celticu do rangi bohaterów, Frankowski już przestał zmieniać barwy klubowe i teraz uczył się od Anglików twardości i nieustępliwości w grze, a Szymkowiak rozповідаł, że „nie straszna mu ptasia grypa”. Euzebiusz syn Włodzimierza Smolarka zapewnił, że będzie lepszy od ojca. Ten ma w dorobku medal z Mundialu w Hiszpanii. Obiecująca perspektywa. Głównie w takiej tonacji na łamach „Przeglądu Sportowego” wypowiadał się Antoni Piechniczek. Miał tam swoją stałą rubrykę pod przesadnie brzmiącym nadtytułem „**TEGO NIE WIE NIKT**”. Czytałem Antka z zadowoleniem, bo fachowo przekazywał prawdy oczywiste: – Niegdyś w naszym futbolu było więcej serca, radości, troski o szkolenie i spojrzenia nie tylko na własne podwórko. Najważniejsza była reprezentacja!

Powie ktoś, że to historia, że to już było, że w futbolu w skali globalnej najwięcej do powiedzenia mają teraz wielkie kluby. U nas kult tego zjawiska też jest łatwo dostrzegalny, jednak kłopot z tym, że my tych tak „wielkich klubów” nie mamy. Jeśli mistrz Polski przegrywa z drużyną zagrożoną spadkiem z ligi portugalskiej, to o czym mamy rozmawiać? Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych poziom „drużyn eksportowych” osiągnęły Górnik i Legia.